

ANNA LITWIN

DROHOBYCKIE OPOWIEŚCI...

Bruno Schulz (1892-1942) – jego proza to zjawisko wyjątkowe i jedyne w polskiej literaturze. Nikt przed nim tak nie pisał, a po jego śmierci, żaden naśladowca mu nie dorównał. Gigantyczna, malarska wyobraźnia pisarza, zrodziła się w mieście z którego pisarz czerpał inspirację dla swej niezwyklej twórczości. Małeńki Drohobycz – kresowe miasteczko stworzone przez wyobraźnię Schulza, jawiło się czytelnikom jako miejsce niezwykle. A dziś?

Dzisiejszy Drohobycz jest raczej pospolitym post-sowieckim miastem, gdzie tylko po zmroku i z dużym wysiłkiem można jeszcze odnaleźć atmosferę ulicy Krokodyli. Współcześni mieszkańcy w większości nie mają wiedzy o Brunonie Schulzu, ale powoli się to zmienia, odkąd zaczęto organizować Festiwal Schulzowski. Na budynku w którym mieszkał ten wielki artysta władze ukraińskie zgodziły się umieścić tablicę w trzech językach ukraińskim, polskim i hebrajskim – uzgodniono akceptowalny dla wszystkich tekst. Bruno Schulz zaczyna nas łączyć.

I choć dzisiejszy Drohobycz nie jest tym miastem znanym nam ze *Sklepow Cynamonowych*, to wciąż jednak pozwala spotykać niezwyklej ludzi – ludzi którzy pamiętają Schulza bo znali go osobiście.

Oto kilka relacji przekazanych mi w Drohobycz – tło życia i śmierci tego niezwyklej artysty.

HISTORIA BRUNONA SCHWARZA – UCZNIA SCHULZA

Oto krótka historia Brunona Schwarza spisana z mojej pamięci i uzupełniona pamięcią Alfreda Schreyera – być może istnieją gdzieś pamiętniki, które ją potwierdzą i rozszerzą – chciałabym, gdyż niedawno dowiedziałam się że pan Schwarz zmarł kilka lat temu w Izraelu.

Kiedy w 1941 roku Niemcy utworzyli w Drohobyczu getto – nie ogrodzili go płotem, czy murem jak w innych miastach, tylko na rogu każdej z ulic prowadzących do getta ustawili ogromne żółte tablice z napisem w języku niemieckim, polskim i ukraińskim: „Dzielnica mieszkaniowa żydowska. Wejście będzie karane śmiercią!” Skończył się swobodny przepływ ludzki i również skończył się transport. Aby jednak można było czasem dowozić coś do getta, gestapowcy sformowali komando transportowe, do którego wytypowano młodych Żydów posiadających prawa jazdy. W tej grupie był również pan Brunon Schwarz.

Nie zawsze jednak jeżdżono samochodami. Komando operowało głównie zaprzęgami końskimi, czyli furmankami, bądź pochyłymi „platformami” służącymi do wywozu zwłok. Poza gettem utworzono jeszcze pięć obozów pracy przymusowej były to: stolarnia (w której pracował Alfred Schreyer), ogrodnictwo – zajmujące spory obszar *vis' a vis'* willi, w której mieszkał gestapowiec i oprawca Feliks Landau, dachówczarnia – tuż pod miastem gdzie produkowano dachówki i cegły, warsztaty usługowe (m.in. fryzjer dla Niemców) w centrum i rafinerię, też poza miastem, gdzie zajmowano się przetwórstwem nafty (Drohobycz znajduje się na terenie borysławskiego zagłębia naftowego). Pomiędzy tymi obozami istniała współpraca i czasem wymiana „siły roboczej”, dlatego zdarzało się że Bruno Schwarz raz powoził konnym zaprzęgiem na terenie getta, a raz pracował buldożerem na terenie dachówczarni. Kiedy zaczęły się masowe rozstrzelania Żydów w Lesie Bronickim, kilka

kilometrów za miastem, młody Schwarz został zatrudniony jako szofer wożący ciężarówką ludzi na miejsce kaźni. Pracował tak wiele dni. Bezustanne kursy pomiędzy budynkiem dawnego Sądu Grodzkiego w którym było więzienie skąd ładowano ludzi, do lasu i kurs powrotny z ich świeżo zdjętą odzieżą, do warsztatów w centrum, gdzie ubrania poddawane były segregacji. W Lesie Bronickim znajdowała się mała polana na której ofiary musiały rozebrać się do naga i tak odarte z godności biegły bite i pędzone kopniakami ostatnie kilkaset metrów nago, aby stanąć nad dołem i czekać na śmierć. Mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci, bez różnicy.

Podczas jednego z takich kursów Bruno Schwarz wiedział, że wiezie własną matkę. Jak sam mówił, choć w pełnej świadomości, że zda się to na nic, chciał choć o kilka chwil przedłużyć jej życie, irracjonalnie, jakby w oczekiwaniu cudu, który musi się przecież zdarzyć, oraz z potrzeby podjęcia choćby bezsensownej próby oporu. Udał, że zgasł i zepsuł się samochód, zatrzymał się na poboczu. Bity i szturchany przez oprawców próbował zapalić silnik kilkakrotnie, tak umiejętnie, że go wreszcie zalał. Cud jednak nie nastąpił – odwlekl egzekucję tylko o kilka godzin, gdyż zaczęły nadjeżdżać kolejne samochody i do każdego po drodze dopychano ludzi z samochodu Bruna. Jeszcze tylko zobaczył matkę, jeszcze tylko na nią popatrzył... Kiedy jednak ostatni samochód zabrał ostatnią partię ludzi, okazało się że jest sam. Zrobiło się cicho – ostatni konwojenci odjechali z ostatnim tego dnia transportem a on miał czekać na mechanika. Poszedł w las i ... przeżył.

Tylko tyle zdążył mi opowiedzieć – nie wiem jak potoczyły się jego dalsze losy, ale to świadectwo zachowam na zawsze w pamięci również dlatego, że opowiadał o Schulzu.

Istnieje co najmniej kilka wersji śmierci Brunona Schulza, tak jak i kilka osób przyznawało się do pochowania jego ciała. Wszystkie jednak w pewien sposób są spójne i choć różnią się w szczegółach pokazują zwierzęcość oprawców i jakieś zupełnie nie do ogarnięcia rozumem, ani tym bardziej sercem

patologii człowieczeństwa. „Ty mi zabiłeś Żyda, to i ja ci zabiłem Żyda” – to kwintesencja.

Podczas „czarnego czwartku” w gettcie, Bruno Schwarz był poza miastem w obrębie „dachówczarni” gdzie pracował jako kierowca buldożera. 20-go listopada dostał od SS-mana polecenie zebrania trupów z getta w formie: „zabierzcie sobie swoich Żydów, bo śmierdzą”. Wraz z kilkoma młodymi więźniami zaprzęgli konie do „platformy” i pojechali do getta. Bruno powoził a chłopcy układali trupy. W pewnym momencie jeden z nich krzyknął: „o mamy tu chyba twojego profesora”. Bruno zszedł z kozła, przyjrzał się i powiedział: „tak chłopcy, mamy tu Brunona Schulza”.

Takie było epitafium jednego z największych polskich pisarzy 20-to lecia. Ofiary „czarnego czwartku” chowane były w zbiorowej mogile na tzw. „nowym cmentarzu żydowskim”. Ale tam nie znajdziemy szczątków Schulza, gdyż cmentarz rozkopano w latach 50-tych, aby nowa władza sowiecka mogła w tym miejscu postawić nowe sowieckie bloki dla nowych sowieckich obywateli.

HISTORIA IZAAKA FRIDMANA – ZNAJOMEGO SCHULZA

Według historii naocznego świadka śmierci Schulza adwokata Izaaka Fridmana, Schulz spokojnie schodził ulicą, by skierować się do piekarni, pod którą stał Fridman. Fridman dostrzegł wzburzonego, biegnącego z bronią Karla Guntera i schował się do bramy. Schulz jednak go nie widział gdyż był odwrócony plecami. Gunter podbiegł do Schulza wrzeszcząc i strzelił mu dwa razy w głowę. Kiedy poprawił drugim strzałem wyraźnie mu ulżyło, spokojnie poszedł dalej zabijać sobie Żydów, tyle, że już bez wzburzenia, dla rozrywki. 19 listopada 1942 roku był czwartek – tego dnia zastrzelono w gettcie ponad 250 osób. Tymczasem ciało Schulza leżało na bruku w czarnej kałuży

krwi. Izaak Fridman twierdził, że zaczekał do nocy i pogrzebał Schulza na starym żydowskim cmentarzu. Jednak na starym żydowskim cmentarzu, pomimo przeprowadzonych badań i poszukiwań, nie odnaleziono ciała Schulza.

Landau i Gunter

Według jednej relacji *Ty mi zabiłeś Żyda to i ja ci zabiłem Żyda*, według innej *Ty zabijasz moich Żydów, to ja zabijam twoich*. Pierwsza dotyczy wersji, jakoby Feliks Landau zabił Lowa, ulubionego dentystę Karla Guntera, za co Gunter zabił Schulza pracującego dla Landaua. Druga jest bardziej rozbudowana i opowiedziana mi przez Alfreda Schreyera.

HISTORIA ALFREDA SCHREYERA – UCZNIĄ SCHULZA

Obóz „ogrodnictwo”, ten ogród w którym przymusowo pracowały kobiety znajdował się po drugiej stronie ulicy przy której do dziś stoi dom, w którym mieszkał gestapowiec Feliks Landau i w którym namalował freski Schulz. Landau nie znosił bezczynności, zarówno swojej jak i więźniów. Lubił od czasu do czasu wyjść na balkon i zastrzelić jakąś opieszalą więźniarkę pracującą w ogrodzie i zbyt długo pochyloną w jednym miejscu. Uczył również strzelać swoją ukochaną żonę Trudę – nikomu to nie przeszkadzało. Przy wejściu do ogrodu stał i stoi do dziś rozsypujący się budynek, którego remontem zajął się gestapowiec Karl Gunter. Ustawiono rusztowania i kobietom z ogrodu nakazano otynkowanie budynku. Te starsze na dole mieszały zaprawę, którą podawano wiadrem na linie do tych młodszych pracujących na rusztowaniu. Kiedy wiadro zjechało na dół i dziewczyny z rusztowania czekały na następną partię zaprawy na balkonie pojawił się Landau. Gdy zobaczył stojące

bezczyinnie dziewczęta po prostu je zastrzelił. Zamordował siedemnastoletnią Wisię Zukerman i Dorę Szternbach, niewiele starszą. Profesor Schreyer: „no, ta mała Zukerman to chyba była Jadwiga, Jadwisia, nie wiem, bo wszyscy mówili na nią Wisia – ładna dziewczynka”. Następnego dnia prace remontowe trwały dalej, a na ulicy spotkał się Landau z Gunterem.

– Czemuś go zastrzelił – spytał Landau – przecież był nam potrzebny.

– Ty zabijasz moich Żydów, to ja zabijam twoich –

To usłyszały kobiety mieszkające zaprawę i to usłyszał Alfred Schreyer, kiedy przebywał w więzieniach Sądu, czekając wśród tłumu na wywózkę i rozstrzelanie w Lesie Bronickim.

Profesor Schreyer: „ale Gunter zapolował na Schulza, on chciał właśnie jego zastrzelić, szukał go, bo wiedział, że Landau lubi jego malarstwo, może nawet wiedział o freskach i chciał Landauowi zrobić na złość. Poza tym był nadambitny, podlegał Landauowi, ale go nie znosił, więc tym bardziej chciał mu zrobić na złość i pokazać ile może”

W podziemiach i celach Sądu w zbitym, skazanym już na śmierć tłumie, rozmawiano, podawano sobie informacje z celi do celi, usiłowano zobaczyć coś przez judasze, a Bruno Schulz był postacią znaną, miał tam wielu wychowanków. Pracę w obozowej stolarni wykonywali jego uczniowie – Bruno Schulz, oprócz lekcji rysunku w Gimnazjum Państwowym im. Władysława Jagiełły, prowadził również zajęcia z prac ręcznych, m.in. ze stolarki.

Alfred Schreyer w podziemiach Sądu – przeznaczony na rozstrzelanie – był dwukrotnie. Za pierwszym razem trafił ze stolarni, ale został wyselekcjonowany i przeznaczony do pracy w „dachówkarni”, gdzie władzę dzierżył znany z okrucieństwa gestapowiec Gabriel. On, skazał go ponownie na rozstrzelanie i kazał wraz z innymi odstawić do Sądu. Ale znowu doszło do selekcji. W obozie naftowym potrzebna była nowa siła robocza. Gestapowiec – nadzorca podobno dał się ubłagać starszyźnie żydowskiej i po łapówce, zgodził się przyjąć do pracy 120 młodych ludzi. Selekcja nastąpiła w celach sądowych. To

był już sierpień 1944 roku, kiedy Niemcy musieli zdemontować wszystkie urządzenia i je w pośpiechu wywozić. Zlikwidowano wszystkie obozy pracy i z resztek utworzono jeden – „do wszystkiego.” Wciąż trwały rozstrzelania, ale nie nadążano, więc część ludzi przewożono w pośpiechu z getta i więzień sądu, do Bełżca, aby ich tam ekonomiczniej zagazować. Wśród gestapowców trwała jakaś gorączkowa mobilizacja, żeby jak najwięcej, żeby zdążyć – choć już się cofali, ale nadal zabijali. W tym ostatnim obozie „do wszystkiego” nadal prowadzono selekcję ubrań ofiar, aby wywieźć je do Rzeszy – przecież nic się nie mogło zmarnować. Znajomy pracujący przy załadunku ubrań przyniósł Schreyerowi dokument matki – z wielkim ukosnym, czerwonym napisem JUDE. Na marginesie wkoło był taki napis: „Jestem szczęśliwa, wiem że się uratowałeś. Teraz spokojnie idę na śmierć z Twoim zdjęciem”. Prawdopodobnie napisała to przebywając w więzieniu Sądu. Musiała widzieć przez judasza, albo usłyszeć od innych o ostatniej selekcji. Byli w tym samym czasie tuż obok siebie, w sąsiednich celach, ale Alfred o tym nie wiedział. Wcześniej matka przebywała za miastem w „bunkrze” u chłopca, czyli w ziemiance, ale sąsiedzi wydali. Jakimś cudem nie rozstrzelano jej na miejscu jak resztę grupy, wraz z gospodarzem, tylko pozwolono wrócić do getta. Stamtąd trafiła do gmachu Sądu, a potem do Lasu Bronickiego.

Ten dokument towarzyszył Schreyerowi przy ostatecznej ewakuacji ostatniego drohobyckiego obozu do Płaszowa. I choć Niemcy przekonywali, że ewakuacja jest chwilowa i zaraz tu wróca, to dalej były kolejne obozy, dalej na zachód. A więc Gross-Rosen, Buchenwald i Taucha pod Lipskiem. W Buchenwaldzie gdzie napis witał „Jedem das Seine” (Każdemu wedle jego zasług) trafił na kwarantannę do 59-go baraku, gdzie odebrano mu tę jedyną pamiątkę po matce – nigdy się potem nie odnalazła. W obozie Taucha, który był filią Buchenwaldu Alfred Schreyer pracował przy produkcji panzerfaustów, godzinami ładował i prznosił ciężkie rury. To była praca ponad ludzkie siły, przy tym praktycznie bez wyżywienia. Kiedy obóz

zamknięto, pognano więźniów w słynnym „marszu śmierci” dalej na zachód, choć w upadającej Rzeszy nikt tak naprawdę nie wiedział dokąd. Konwojentami byli członkowie Volkssturmu – zdolni by zabijać lub dobijać pojedyncze ofiary, ale nie zdolni do dokonania masowych egzekucji. Więc szli, padali, podnosili się i umierali w tych ostatnich dniach wojny. Schreyer osłabiony i napuchnięty z głodu zostawał w tyle, nie nadażał. Mijały go kolejne rzędy, a on pilnował tylko, by nie znaleźć się na skraju i nie dać się zabić. Kiedy jednak dogonił go już ostatni rząd, chciał się poddać, stracił wiarę we własne siły. W tym rządzie szli więźniowie niemieccy. Schreyer w rozpaczy powiedział im, że już nie dożyje do swoich urodzin, upadł i już nie chciał się podnieść. Gdy nadbiegł volkssturmiowiec, który powinien był dobić marudera, niemiecki więzień powiedział mu: „puść go, on nie ma siły, a jest młody, daj mu żyć”. Funkcjonariusz obruszył się: „nikt nie ma siły, niby czemu mam go traktować inaczej” – „Dlatego – powiedział więzień – że to jest znany śpiewak operowy” – folksdojcz prychnął coś pod nosem i pchnął Schreiera do rowu. Było to 7-go maja 1945 roku pod Freibergiem. Gdy nazajutrz nastał dzień 23-cich urodzin, Alfred Schreyer ze wzgórza zobaczył nadciągającą w kurzu kolumnę radzieckich czołgów. A skąd śpiewak operowy? Bo Schreyer jeszcze w obozie śpiewał czasem wieczorami. Widocznie niemiecki jeńiec to słyszał, albo może bez tego wymyślił. Tak czy owak, jak podkreśla profesor muzyka uratowała mu życie. I mówi do mnie: „Jaki tam ze mnie profesor, proszę mnie tak nie tytułować, ja tylko nauczycielem muzyki w Liceum jestem”.

W 1946 roku wrócił do Drohobycza. Wcześniej, jeszcze na terenie Niemiec. Czerwony Krzyż zaproponował mu emigrację do Argentyny, bo mieszkała tam jakaś jego daleka, ale jak w pełni sobie uświadamiał teraz już jedyna ciotka, ale na okres oczekiwania musiałby znowu zamieszkać w baraku, a tego nie był już w stanie znieść, więc wrócił do domu. W Bełżcu w komorach gazowych zginął ojciec, wuj, kuzynka i babcia. Mama została niedaleko, w Lesie Bronickim.

Profesor Alfred Schreyer całe swoje zawodowe życie pracował w Liceum Drohobyckim i przez wiele lat prowadził polski chór przykościelny. Dziś ma 90 lat i wciąż pracuje dla podtrzymania polskiej tradycji w Drohobyczu, a przede wszystkim dla zachowania pamięci o Schulzu. Jest pięknym przykładem polskiego Żyda patrioty, który po przeżyciu nazizmu, holokaustu, stalinizmu, komunizmu i na koniec doczekania w swoim mieście Ukrainy – wciąż z nostalgią wspomina II-gą Rzeczypospolitą.

HISTORIA LASU BRONICKIEGO

Przy drodze z Drohobycza na Sambor stoi pomnik hańby. Jakaś dobrze rozwinięta dziewczoja wskazuje ręką na las. Pomnik ustawili sowietci w latach 50-tych wraz z żelazną tablicą mówiącą, że w tym lesie zginęli obywatele Związku Radzieckiego walczący z faszystowskim okupantem – ani słowa o Żydach. Na szczęście obywatele Związku Radzieckiego ukradli tablice na złom już po kilku miesiącach i podobny los spotykał następne, tak więc władza odpuściła sobie propagandę i została tylko starzejąca się i z czasem coraz bardziej groteskowa dziewczoja. Tym niemniej jest drogowskazem. Gdy wejdzie się kilkaset metrów w głąb lasu można dostrzec kamień w miejscu polany, na której kazano ofiarom rozbierać się do naga. Dalej, prawie niewidoczne, obrośnięte mchem, rozrzucone po lesie betonowe, niskie, ale długie po kilkanaście lub kilkadziesiąt metrów, prostokątne, betonowe sarkofagi. Las jest niedobry, podmokły, krzaczasty, trudno po nim chodzić, czy raczej przedzierać się przez chaszczce. Sarkofagów jest jednaście, bo leży tutaj około dziesięciu – jedenastu tysięcy ludzi! Tych ofiar Niemcy nie spalili podczas wycofywania się na Zachód, tak jak zrobili to w Babim Jarze w Kijowie i innych miejscach. Specjalne komanda złożone z żyjących jeszcze więźniów musiały wykopywać i na wielkich rusztach palić rozkładające się zwłoki, bo

Niemcy nie chcieli zostawiać śladów. Ci w Lesie Bronickim paradoksalnie pośmiertnie ocaleli, przed powtórny holokautem, ale zwierzęta kopały w mogiłach, a ziemia rodziła kości. Pojawiali się też „archeolodzy” kopiący w poszukiwaniu złoty zębów. Hieny cmentarne występują w każdym systemie politycznym i nie mają narodowości.

Na przełomie lat 50-tych i 60-tych prężnie rozwijające się państwo Izrael potrzebowało drewna na budowę nowych kibuców. ZSRR miał drewna w bród, za to nie miał dewiz – doszło zatem do dyskretnej wymiany handlowej. Zajął się nią Wilhelm Tepper – oczywiście – Żyd z Drohobycza. Ocalał i przeżył, ale żył z piętnem winy, że nie udało mu się uratować swojej pięknej młodej żony, którą niezwykle kochał. Ukrył ją w „bunkrze” u dobrych ludzi, jednak bunkier został wykryty, a ona zażyła cyjanek, który sam jej podarował na „w razie czego”, jednak przecież bez wiary, że „w razie czego” może naprawdę nastąpić. Wiedział, czy może domyślał się, że jej ciało zostało dorzucone do którejś z mogił.

Pomimo swoich rozlicznych koneksji i międzynarodowych znajomości nie udało mu się zmusić, ani państwa Izrael, ani ZSRR do stworzenia cmentarza, zabezpieczenia szczątków. Jedyne co uzyskał, to ciche przyzwolenie władz sowieckich na sfinansowanie i wykonanie samodzielnego projektu. Oczywiście wydał ogromne i podwójne (łapówki) pieniądze, swoje własne, aby przykryć betonem te doły śmierci. Władze nie zgodziły się jednak na żaden napis. Tylko na jednym z sarkofagów leży niewielka, na wszelki wypadek wykonana z betonu, a nie z metalu Gwiazda Dawida. Kiedy upadł ZSRR i już „było można”, Alfred Schreyer wraz z kilkoma ocalałymi znajomymi wykonał jeszcze jeden symboliczny nagrobek, na którym umieszczono kilka nazwisk. I tyle ich już tylko pozostanie, tyle co żywych spadkobierców – sześciu – siedmiu – na całym Świecie – spadkobierców jedenastu tysięcy Żydów z Drohobycza – obywateli II-giej Rzeczypospolitej.

Świat II-giej Rzeczypospolitej nie był idealny, nie brakowało nacjonalizmów, animozji, podziałów narodowych i spo-

łecznych, pionowych i poziomych w każdej z narodowości był jednak nieskończenie lepszy, niż totalitaryzmy i kataklizmy, które nastąpiły po nim.

Faszyzm i bolszewia stygmatyzowały, dzieliły i niszczyły ludzi według kategorii, jednocześnie spuszczać ze smyczy najgorsze elementy ludzkie podlegające tylko jednej kategorii – bezwarunkowemu, ślepemu posłuszeństwu terrorowi.

Alfred Schreyer przez pewien czas pracował we „fryzjerni”, czyli w obozowych warsztatach w centrum Drohobycza, zatrudniającym żydowskich fryzjerów do obsługi Gestapowców. Któregoś dnia – według Jego relacji – wpadł tam młody gestapowiec Kurt, z pochodzenia Serb – choć pewnie nazywał się inaczej, bo SS-mani rekrutujący się z serbskiego gestapo mieli zazwyczaj fałszywe imiona i nazwiska. Kurt pada rozwalony na fotel i krzyczy szczęśliwy: Jak ja dzisiaj strzelałem! Zabiłem trzystu Żydów!

Z sąsiedniego fotela namydlona twarz kolegi mówi – Kurt, ty jesteś bohaterem!

Brzytwa w ręku żydowskiego fryzjera nieruchomieje na moment, a potem znowu podejmuje swą monotonną podróż po jabłku Adama z cichym chrzęstem.

Wydaje się nieprawdopodobne, że w Drohobyczu podczas okupacji stacjonowało tylko trzydziestu pięciu gestapowców. Cała reszta to pomocnicy, więc Ukraińska Policja Pomocnicza i Polscy Granatowi Policjanci. Polscy policjanci pilnowali więźniów w gmachu Sądu, oraz byli odpowiedzialni za załadunek ludzi do samochodów wiozących ich na stracenie, policjanci ukraińscy konwojowali transporty i zmuszali do zdjęcie odzieży na polanie przed egzekucją, niemieccy gestapowcy „tylko” strzelali.

Te „siły porządkowe” to nie byli ludzie napływowi. To byli polscy i ukraińscy mieszkańcy Drohobycza. Ci sami ludzie, którzy przed wojną robili zakupy w sklepikach Szmula, czy Rebeci – znali się. Ci, których dzieci chodziły do tego samego Gimnazjum Króla Stanisława Jagiełły, w którym uczył Bruno Schulz.

A z drugiej strony Polacy i Ukraińcy, budowali „bunkry”, docieplali piwnice, przynosili chleb, wynosili nieczystości i ginęli razem ze swoimi „gośćmi” kiedy zostali wykryci. Przez „bunkier” jednego tylko Ukraińca, który nazywał się Pysk przewinęło się i uratowało aż czterdzieści pięć osób.

Przed wojną Bruno Schulz odrzucał swoje pochodzenie, ale jednocześnie się od niego nie odcinał i z niego czerpał. Pisał po polsku i wystąpił z Gminy Żydowskiej przed planowanym ślubem z Józefina Szelińską, ale jego utwory przesycane są żydowskim dziedzictwem. Jednak to dziedzictwo mu nie wystarczało – on był większy, wychodził poza ramy ciasno pojmowanej przynależności. Podobno Debora Vogel – znana żydowska literatka, nie mogąc pogodzić się ze stanowiskiem Schulza, prosiła go: „Skoro nie chce Pan być dla nas, niech Pan chociaż będzie dla Świata.” A jednak zginął tylko dlatego że był Żydem.

Alfred Schreyer zanim trafił do gimnazjum w którym uczył Schulz, uczęszczał do Prywatnego Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza, w którym uczyła Józefina Szelińska – w obu szkołach prócz polskiego uczono języka ukraińskiego, którego Schreyer nie znał. Matka chciała go zwolnić z tej nauki i zwróciła się z prośbą do kuratora Maksymiliana Thullie, który był jednocześnie senatorem RP Klubu Chrześcijańskiej Demokracji. Tenże, odpowiedział, że z przykrością musi odmówić, gdyż taki wyjątek mógłby urazić dzieci ukraińskie i ich rodziców. W tej sanacyjnej Polsce! Alfred Schreyer mówi do mnie: „proszę to zapamiętać – taki był „za Polski” stosunek władz do mniejszości”.

Mały Alfred nauczył się ukraińskiego, choć w jego domu, podobnie jak w domu Schulza i wielu innych żydowskich rodzinach mówiono wyłącznie po polsku. Nawet podczas swojej bar-micwy w synagodze trzynastoletni Fredek, na prośbę matki jedną z modlitw odczytał po polsku.

Kiedy przedarliśmy się przez chaszczę i błoto w Lesie Bronickim, położyliśmy wiązanekę na symbolicznym grobie,

a siwy staruszek płakał i mówił: „ Oj, mamusiu, żebyś Ty wiedziała że dzisiaj masz gości”.

HISTORIA FELIKSA LANDAUA

Feliks Landau nie był pozbawiony uczuć wyższych. W Instytucie Yad Vashem zachował się jego pełen tęsknoty do żony dziennik pisany we Lwowie, gdzie rozstrzeliwał polskich profesorów w Drohobyczu: „Dziś rozstrzelałem trzydziestu, krew zabrudziła mi mundur i muszę go oddać do prania. Kocham Cię Trudo i tęsknię. Dwóch płakało przy kopaniu grobu. W ogóle mnie to nie rusza. Tak musi być i koniec. Dwie kobiety stanęły nad wykopem, były całkowicie spokojne. Pracujemy w sześciu – trzech strzela w serce, trzech w głowę. Ja wybrałem serce. Kiedy strzeliliśmy mózgi kobiet rozprysnęły się w powietrzu. Dwa strzały w głowę to za dużo, mózg po prostu eksploduje” (Podaję za Yad Vashem).

Ukochana Truda dojechała z synkiem do Drohobycza i zamieszkali wreszcie razem. Truda uczyła się jeździć konno i strzelać z balkonu, a Schulz ozdabiał pokój synka baśniowymi malowidłami. Feliks Landau kazał mu również pracować w stolarni, gdzie ze zrabowanych żydowskich mebli robiono souveniry. Landau miał w Rzeszy przyrodniego brata – z tej samej matki, ale z innych ojców. Niestety ojciec brata był Żydem, co spowodowało, że brat-adwokat nie mógł już wykonywać zawodu. Nie został, co prawda uznany za Żyda, bo w tej kwestii hitlerowcy przyjęli żydowskie prawo, czyli dziedziczenie narodowości po matce, ale miał tzw. „gorszą krew” i znalazł się w trudnej sytuacji. Feliks postanowił mu pomóc. W obozowej stolarni zaczęły powstawać intarsjowane szkatułki, które Landau wysyłał do brata, a tamten następnie je sprzedawał. Feliks Landau nie był pozbawiony uczuć wyższych – kochał brata.

Bruno Schulz posłusznie malował dziecięcy pokoik. Postacie z bajek miały pokazywać maleństwu dobry piękny świat.

Księżniczka miała twarz Trudy. Feliks Landau nie był pozbawiony uczuć wyższych, kochał synka.

Bruno malował powoli, opóźniał pracę w obawie, że przestanie być potrzebny. Zdecydował się już na ucieczkę z getta i czekał na „aryjskie” papiery. Akcję wywozu Shulza z getta zainicjowała Zofia Nałkowska – przedwojenna przyjaciółka i protektorka artystyczna. Schulz miał zostać ukryty pod Warszawą, ale bał się podróżować sam. Pociągi pełne były szmalcowników, a twarz Bruna wychudzona gettem nie pozostawiała wątpliwości, co do pochodzenia. Postanowiono więc, że przyjedzie po niego żołnierz AK w niemieckim mundurze i uda konwojenta. Miał pojawić się lada moment, a Schulz miał być gotowy. Tego dnia, kiedy zginął chciał kupić chleb na drogę.

Feliks Landau kochał konie. Uczył też Trudę, jak z gracją jeździć konno. Stylizując się na gestapowskiego arystokratę, na własną miarę chciał być mecenasem sztuki. Stąd patronat nad Schulzem i zmuszanie go do dekorowania freskami krytej ujeżdżalni w Drohobyczu. Malowidła te nie zachowały się.

O ile nieznane są losy bezpośredniego zabójcy Schulza, Carla Guntera, o tyle powojenne losy Feliksa Landaua są dość dobrze udokumentowane. Zaaresztowany – 1947 roku, zbiegł z obozu i przez jedenaście lat żył pod przybranym nazwiskiem w RFN spokojnie prowadząc firmę dekoracji wnętrz. Kiedy jednak zmarła ukochana Truda, postanowił ponownie wstąpić w związek małżeński. Musiał, podczas rejestracji dokumentów podać prawdziwe nazwisko – zrobił to, bo widocznie czuł się już całkowicie pewnie. Tymczasem jako poszukiwany zbrodniarz wojenny, został zaaresztowany w 1958 roku i po trwającym cztery lata procesie skazany na dożywocie. I tu pojawił się brat, który też nie był pozbawiony uczuć wyższych – kochał brata, a poza tym znów mógł wykonywać zawód adwokata. Wikipedia kończy biogram informacją, że został skazany na dożywocie – nie jest to jednak cała prawda. Dzięki staraniom brata, wyrok dożywocia zamieniono na 12 lat więzienia! Dzięki ponownym staraniom brata – adwokata, nastąpiło przedterminowe

zwolnienie ze względu na zły stan zdrowia. Po sześciu latach! Przed rokiem 1970 Feliks Landau był już na wolności. Ostatnich trzynaście lat życia przeżył spokojnie, jako wolny człowiek. Zmarł w otoczeniu rodziny w 1983 roku. Człowiek, który wymordował jedenaście tysięcy drohobyckich Żydów, a wcześniej profesorów lwowskich.

HISTORIA FRESKÓW

W 2001 roku dość szerokim echem odbiła się w mediach historia odkrycia i kradzieży fresków z willi Landaua w Drohobyczu. W dawnym dziecięcym pokoiku, służącym współcześnie rodzinie Kałużnych za spiżarnię, niemiecki dokumentalista Benjamin Geissler wraz z Alfredem Schreyerem pod warstwą powojennej farby odnaleźli freski – ostatnie dzieło geniuszu Schulza. W cztery miesiące później pracownicy Yad Vashem w szybkiej akcji skuli i nielegalnie wywieźli do Izraela pięć z nich. Porwano księżniczkę o twarzy Trudy, księcia, błazna oraz woźnicę, którego rysy twarzy przypominają Schulza. Ale Yad Vashem zrobiło to jak szanujący się, przedwojenny kieszonkowiec, który skradziony uprzednio portfel podrzucił właścicielowi z minimalną gotówką. Zostawili kota, konia, trzech krasnali, drzewo z ptaszkami, królewicza z królowną i rycerza na koniu.

Właściwie wszyscy na tym skorzystali

Ukraiński Sąd postępowanie umorzył, ponieważ freski nie znajdowały się w spisie zabytków. Muzeum Yad Vashem dokonało renowacji i zabezpieczenia fresków i eksponuje je zgodnie z najnowocześniejszymi zasadami sztuki muzealniczej (wilgotność, oświetlenie et.)

Muzeum Drohobyckie zmuszone było zabezpieczyć to, co pozostało i przenieść do Miejskiego Muzeum. Po renowacji freski są okresowo udostępniane.

Rodzina Kałużnych kupiła sobie nowy samochód.

Stanowisko Yad Vashem jest jednoznaczne: „wszelkie dzieła sztuki które powstały w latach holokaustu należą do Narodu Żydowskiego i powinny znajdować się w Yad Vashem” – trudno tego nie zrozumieć.

Stanowiska Alfreda Schreyera: „ale one stanowiły całość, powinny być razem, nie ruszane, a w tym domu powinno być Muzeum Schulza” – trudno się z tym nie zgodzić.

Stanowisko Ministerstwa Kultury Ukrainy: „podpisano umowę, mówiącą, że Ukraina jako właściciel wypożycza freski Muzeum Yad Vashem na okres 20 lat, po upływie tego terminu umowa powinna być prolongowana” – Salomon by tego nie wymyślił.

A reżyser-dokumentalista Benjamin Geissler, chcąc wszystkich pogodzić i nie zgubić w awanturze samego Schulza, zebrał cyfrowo obydwie kolekcje i prezentuje je w świecie multimedialnie.

HISTORIA PEWNEJ SZKATUŁKI

Bruno Schulz zmarł bezdzietnie. Wymordowano też większość jego najbliższej rodziny. Uratowały się dzieci Izydora, brata Schulza – Ella i Jakub. Oboje pielęgnowali pamięć o niezwykłym wuju i byli źródłem wielu bezcennych informacji. Syn pani Elli pan Marek jest dzisiaj ostatnim żyjącym krewnym Wielkiego Artysty .

Feliks Landau miał z Trudą dwóch synów. Starszy, ożeniony z Polką, mieszka w Australii i odkłada słuchawkę gdy słyszy imię ojca. Młodszy mieszka w Wiedniu i pewnego dnia 2002 roku zgodził się na niezwykle spotkanie. Do mieszkania Teja-Udo Landaua, reżyser Benjamin Geissler przyprowadził pana Marka.

Jak to jest być synem takiego zbrodniarza? Kochać ojca i całkowicie odrzucać przeszłość, czy też zachować wiedzę

ze świadomością, że przecież obciąży się tym również pokolenie własnych dzieci. Czy sadystyczne skłonności mieszczą się w kategoriach myślenia o rodzicach? Czy księżniczka ze ściany dziecięcego pokoiku mogła strzelać z balkonu do ludzi? Czy można poznać dziennik „pracy” ojca, a potem mnożyć te wszystkie opisy przez dziesiątki, setki, tysiące istnień ludzkich? I jakiej trzeba odwagi aby stanąć oko w oko z potomkiem ofiary? Z całą świadomością, że tylko ta jedna zbrodnia, już sama w sobie była zbrodnią na ludzkości. Zbrodnią nie tylko na człowieku, ale na całej spuściznie, której jeszcze nie stworzył, a mógł. Bruno Schulz w chwili śmierci miał pięćdziesiąt lat, był dojrzałym pisarzem i w pełni ukształtowanym człowiekiem, który chciał i mógł się z nami dzielić Światem swej niezwykłej wyobraźni.

W jednym z listów do Tadeusza Brezy napisał „ Jest największe nieszczęście – nie wyżyć życia”.

W trakcie spotkania Landau gospodarz – ten nieszczęsny i przecież niczemu niewinny człowiek – podszedł do regału i zdjął z niego drewnianą szkatułkę. Wyjmował z niej zdjęcia, długo, precyzyjnie – ojciec w mundurze SS, matka na koniu w ujeżdżalni, rodzice z dziećmi w ogrodzie. Szkatułkę wręczył panu Markowi – to była ostatnia materialna spuścizna po Schulzu, ostatnia którą wykonał, zanim zginął.

Na polecenie Feliksa Landaua, Schulz ozdobił wieko szkatułki intarsją przedstawiającą podobiznę Trudy galopującej na koniu. Matka, księżniczka, bajkowa królowna, odrealniona amazonka z rozwianym włosom – jaki piękny jest świat bajek.

Bruno Schulz często opowiadał bajki. Alfred Shreyer wspominał, że gdy nie chciało im się w szkole pracować na zajęciach „urabiali” profesora, aby opowiedział im bajkę. A Schulz się zgadzał, przysiadł na stole, drobny, lekko zgarbiony i cichym głosem prowadził uczniów tam, gdzie dobro zawsze zwycięża.

Pan Marek przekazał szkatułkę do Muzeum Literatury w Warszawie, gdzie znajduje się największy zbiór pamiątek

po Brunonie Schulzu. I jest rzeczą niezwykłą i symboliczną zarazem, że ostatnia praca plastyczna tego genialnego artysty przedstawia żonę oprawcy. Jakby chciał wskazać palcem zza grobu, zostawić dowód-oskarżenie winnych tych nieludzkich zbrodni. Tą pracą Bruno Schulz zobowiązał nas do pamięci.

Drohobycz-Warszawa,
jesień 2013 r.